

Trzy panie w samochodzie
czyli sekta olimpijska

W scerii

Babie lato



Małgorzata Gutowska-Adamczyk
Serenada, czyli moje życie niecodzienne

Romuald Pawlak *Póki pies nas nie rozłączy*

Romuald Pawlak *Związek do remontu*

Katarzyna Zyskowska-Ignaciak *Niebieskie migdały*

Katarzyna Zyskowska-Ignaciak *Przebudzenie*

Katarzyna Zyskowska-Ignaciak *Ucieczka znad rozlewiska*

Karolina Świącicka *Lalki*

Małgorzata Maciejewska *Zemsta*

Kasia Bulicz-Kasprzak
Nie licząc kota, czyli kolejna historia miłosna

Kasia Bulicz-Kasprzak *Nalewka zapomnienia,
czyli bajka dla nieco starszych dziewczynek*

Izabela Sowa *Zielone jabłuszko*

Magdalena Witkiewicz *Ballada o ciotce Matyldzie*

Iwona Banach *Szczęśliwy pech*

Liliana Fabisińska *Z jednej gliny*

Małgorzata Thiele *Trzy panie w samochodzie,
czyli sekta olimpijska*

W przygotowaniu

Anna M. Brengos *Scenariusz z życia*

Iwona Banach *Łokator do wynajęcia*

Małgorzata Thiele



*Trzy panie w samochodzie
czyli sekta olimpijska*



Wydawnictwo
Nasza Księgarnia

Text © copyright by Małgorzata Thiele, 2014

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014

Projekt layoutu serii *Olga Reszelska*

Projekt okładki *Karia Korobkiewicz*

Zdjęcie autorki *Przemysław Thiele*

Zdjęcia na okładce:

© iStockphoto.com/AMR Image

© Steve Cukrov/Shutterstock

Od jakiegoś roku z kawałkiem znajomi są wobec mnie wyjątkowo serdeczni. Zawsze mi przytakują. Pocieszająco poklepują po ramieniu. Współczująco się uśmiechają. Ale pod tym współczuciem kryje się zakłopotanie. A od zakłopotania bardzo blisko do zniecierpliwienia.

Nie bardzo wiedzą, czy mnie zaprosić na dorocznego grilla od zawsze organizowanego wśród tych samych par. Mają problem z zaadresowaniem zaproszenia na ślub dziecka, które dwadzieścia lat temu bawiło się z moim synem w tej samej piaskownicy. Jest ze mną kłopot nawet na babskich wieczorkach, bo co prawda na tych spotkaniach nie rażę, ale jakoś głupio w moim towarzystwie poruszać pewne wyjątkowo smakowite tematy.

I nie mogę powiedzieć, że tego nie rozumiem.

Bo jak traktować kobietę, która się rozwodzi w wieku czterdziestu ośmiu lat, nie mając pod ręką kandydata na następcę? Co myśleć o takiej, która pozwala mężowi odejść i zostaje w pustym mieszkaniu, na dodatek bez samochodu i alimen-

tów? Jak rozmawiać z żoną, która nie umie wyperswadować niebogatemu, podstarzałemu niby-amantowi, że już za późno na dużo młodszą kobietę i nowe dziecko?

Kto tak postępuje? No właśnie ja.

I dlatego zrobiłam się towarzysko kłopotliwa. Razem już nas nie wypada zapraszać, a osobno – jak? Raz mnie, a raz Adama? Oficjalnie wszyscy uznali jego winę, ale miny, jakie czasem zauważam, sugerują, że główną winną jestem ja. Moje biedne przyjaciółki nie czują się przy mnie swobodnie. Tak chętnie poomawiałyby mój upadek („Rzucił ją dla własnej studentki – co za banal!”), a przecież przy mnie nie wypada. Ich mężowie są w jeszcze gorszej sytuacji. Nicktórzy nawet chcieliby pójść w ślady Adama, a tu należy głośno potępić występnego małżonka.

Na nieoczekiwaną zmianę mojego stanu cywilnego reagują zresztą wszyscy. Sąsiadka z góry śle ironiczne uśmieški, z których czytam: „Użalałaś się nade mną, bo mój stary mnie bije. I na czyje wyszło? Może czasem i bije, ale przynajmniej wraca do domu. No a gdzie ten twój?!”.

Moja siostra Beata oskarża mnie bez skrupułów. Na szczęście mieszka w innym mieście, więc robi to tylko telefonicznie. To, co się wydarzyło, w jej mniemaniu potwierdza moją odwieczną niezaradność.

– Te twoje idiotyczne wybory życiowe! – wrzeszczy mi do ucha. – Bezsensowne studia! Przypadkowa praca! Nieodpowiedzialny mąż! I nawet synem nie potrafiłaś pokierować!

Pewna siebie smarkula zachowuje się tak, jakby to ona była starsza, a nie ja. Nie wiem, co jej odpowiedzieć. Co prawda, kiedy po raz kolejny przypomniła, jak świetnie funkcjonuje jej rodzina, miałam ochotę wygarnąć, że wolę grzebać w książkach niż w cudzych zębach – jak jej mąż, ale przecież tego nie powiem. Pracowite dłubanie w zębach plus praca siostry jako radca prawny stopniowo podnosiły ich poziom życia, aż zapewniły im wygodny dom, coroczne wakacje w ciepłych krajach i narty w zimie. A co ja mam? Mieszkanie w bloku i lato nad jeziorem Dybiec?

Do tego jej córki tak rozsądnie ułożyły sobie życie. Julia, choć młoda, robi karierę w banku, a Justyna zalicza kolejne semestry na stomatologii jak burza. Któregoś dnia przejmie wszystkie drogocenne szczęki po ojcu. Tymczasem mój Marcin najpierw zaczął studiować ekonomię, potem politologię, jednak niczego nie ukończył. Trochę popracował w hurtowni, trochę jako kierowca, lecz tak naprawdę w jego życiu liczą się tylko gitara i własna kapela. No i oczywiście Zuza. Zuza jest urocza, choć też nie ma pracy, mimo że w przeciwieństwie do Marcina skończyła studia. Co z tego, skoro mój syn też mnie krytykuje:

– Przejęłaś, matka. Nie mówię, że masz wykończyć ojca alimentami, ale tak rezygnować ze wszystkiego? Za bardzo się przejęłaś narodzinami mojego niby-braciszka. To w końcu nie twoja broszka! Ma, czego chciał!

Tylko mój tata zachowuje swoje zdanie dla siebie. Zawsze lubił Adama i teraz też nie powie o nim złego słowa. Widzę jednak, że się martwi. Oboje jesteśmy sami. On – od dziesięciu lat wdowiec, i ja – świeża rozwódka pod pięćdziesiątkę. To łączy. Więc wspólnie sobie milczymy na ten temat.

Prawdziwe zrozumienie znajduję tylko w pracy, u pocziwej Uli. Liczne doświadczenia życiowe zrobiły z niej osobę wyrozumiałą i współczującą. Ileż to razy zastępowałam ją w bibliotece, bo jej beztroski mąż przeżywał akurat fascynację kolejną dziewczyną i nie miał głowy do zajmowania się dziećmi. Teraz Ula mogłaby triumfować, okazywać mi swoją wyższość. Miałam takie ustabilizowane życie, a tu, proszę – jaka piękna katastrofa! Lecz to nie w jej stylu. Co prawda jej dyskretne poparcie niewiele mi pomaga, jednak zawsze to lepsze niż towarzystwo mojej drugiej współpracownicy, Klauddii, która jest w wieku aktualnej żony mojego męża i okazuje mi jawną wzdarcę. No ale ona pogardza nie tylko porzuconymi żonami, lecz także biblioteką, jej klientami, pracownikami i w ogóle wszelkim frajerstwem. Pracę tu traktuje jako przygodkowy i krótkotrwały etap swojego życia, czemu daje wyraz przy każdej okazji.

– Pani Marto, jak już pani przyszła, to ja się urwę – wita mnie od progu. – Jestem umówiona z manikiurzystką, a jak teraz wyjdę, to jeszcze zdążę zajrzeć do Sephory. Mają promocję kremów z filtrem. – Już poprawiła makijaż i stukając

obcasami, kieruje się do wyjścia. Na odchodnym odwraca się w moją stronę. – Może pani też kupić?

I ja mam się nabrać na tę serdeczność?! Przecież smarkuła wie doskonale, że krem z filtrem nie będzie mi w tym roku potrzebny. Całe lato spędzę, wypożyczając ludziom książki na ich urlopy. Odpowiadam jednak uprzejmie:

– Nic, dziękuję. Mam jeszcze z zeszłego roku. Kupiłam w Douglassie.

I tak nie uwierzyła. Ale skoro mam wykonać część jej pracy, to przynajmniej niech do mnie należy ostatnie słowo.

Wdycham specyficzną mieszaninę zapachów: książek, starych wykładzin i lekkiej stęchlizny. Biblioteka mieści się na wysokim parterze kamienicy, która od lat nie była odnawiana, a w dodatku nie jest zbyt słoneczna. Okazuje się jednak, że świetnie czują się w niej odmiany storczyków, które nie przepadają za słońcem, więc mamy ich niezłą kolekcję.

Po Klaudii została oczywiście góra książek do odłożenia na półki. Pewnie biedactwo bało się połamać tipsy. Chociaż nie, tipsów jeszcze nie ma, przecież dopiero się wybiera do Świata Paznokcia czy innego Imperium Manikiuru. Ale z drugiej strony, żeby je przykleić, chyba trzeba mieć własne paznokcie w jako takim stanie? Pewnie dlatego się oszczędzała.

Tak czy inaczej zacznę kolejny, bliźniaczo podobny do poprzedniego dzień roboczy. Schemat jest następujący: przychodzę za wcześnie, odbieram porcję pocieszeń od Uli albo porcję złośliwości od Klaudii, poprawiam okulary na nosie

i biorę się do pracy. Wypożyczam, kataloguję, układam, doradzam, odpowiadam na pytania, nudzę się. Czasem nawadniam storczyki (byle nie za często!). W końcu wracam do domu i czekam na początek następnego dnia.

Tym razem ledwie wchodzę między regały, zaczyna się ruch. Wyczuli, że jestem? Ciekawe, że kiedy Klaudia ma dyżur, jakoś rzadziej przychodzą. Najpierw zjawiają się studenci. Jeden po tom z ekonomii, drugi poszukać czegoś w katalogu. Zasiada na dłużej przy komputerze. Za chwilę dwoje dzieci, które przysłała mama, żeby oddały książki, bo inaczej będzie kara. I dziewczyna, która mnie prosi:

– Pani mi coś znajdzie. Tylko żeby nie było zbyt smutne. Trochę smutne może być, ale nie za bardzo, bo ja strasznie przeżywam. Coś śmiesznego? No, może być. Tylko żeby nie było głupie – jak to o tym zdechłym kocie czy jakoś tam. A widziała pani, jakim to było językiem napisane?!

Kataloguję kilka nowych książek. Sklejam rozdarte okładki.

Zjawia się starsza pani od lektur. Myślę o niej „starsza pani”, bo dzieli nas pewnie tyle lat, ile mnie i Klaudię. Sądzę, że Klaudia o mnie też mówi „starsza”. Jeśli nie po prostu „stara”. Pani od lektur zawsze ma na sobie coś niebieskiego, dzisiaj chustkę na szyi. Postanowiła sobie przypomnieć wszystkie lektury szkolne i systematycznie je wypożycza. Właśnie oddaje dwa tomy *Nad Niemnem*.

– No i jak Justyna i Janek po latach?

– A wie pani, że całkiem nieźle? – Uśmiecha się. – Kiedy to czytałam w młodości, Jan wydawał mi się potwornie nudny. Przystojny, z pięknym głosem, dobry, pracowity, a do tego jeszcze kochający. Nieznośne! Dziś jestem gotowa go zaakceptować.

– Oj, ja też – przyznaję i wzdycham. – A co pani weźmie tym razem?

– Za moich czasów obowiązkowe były produkcyjniaki. Jakieś koszmarki radzieckie i książki Wandy Wasilewskiej. Dziś znów jest moda na PRL. Więc chyba się jej poddam. Sprawdzę, jak to się teraz czyta. Oczywiście, jeśli w bibliotece coś jeszcze się znajdzie.

– Niestety... – Zastanawiam się. – Ale zaraz, zaraz... Mój tata powinien mieć coś w swoich zbiorach, przecież nigdy by książki nie wyrzucił. Jeśli się pani specjalnie nie spieszy, mogę u niego poszukać.

Bładobłękitne oczy niebieskiej pani się rozpromieniają (chustka na szyi doskonale podkreśla ich barwę).

– Och, wspaniale! To będzie interesujący eksperyment.

Umawiamy się na piątek.

Gdzieś między regałami a wypożyczającymi dyskretnie przemieszcza się pan Grzegorz, nasz konserwator. Obchodzi filie biblioteczne i naprawia wszystko, co się tam akurat zepsuło. A to spłuczkę w ubikacji, a to klamkę w oknie, a to kontakt wyrwany ze ściany. Ma bardzo zręczne ręce.

I ładne – jak pianista, a nie instalator. Tym razem wymienia świetlówkę.

Zamieniamy kilka zdań o pogodzie.

– Zimno i zimno w tym roku. Gdzie to ocieplenie klimatu?

– No właśnie. Podobno od niedzieli...

Tę oryginalną konwersację przerywa telefon.

– Marta?

– Owszem. Cześć, Adam. Coś się stało?

– Nic się nie stało. Dlaczego miałyby się stać? Chciałem sprawdzić, czy u was wszystko w porządku.

„U was”! Przecież wiesz, że Marcin mieszka z Zuzą, zresztą ma do niego telefon. Ale niech mu będzie.

– U n a s – mówię – po staremu. Wszystko w porządku.

– To dobrze. Wiesz, tak sobie pomyślałem, że chyba nie jest wam zbyt potrzebna ta mała wiertarka, co?

Już wiem, skąd to „u was”. Właścicielką wiertarki jestem ja, ale używa jej Marcin.

– Ostatnio akurat nie jest potrzebna.

– No właśnie, a mnie bardzo by się przydała. Nie pożyczylabyś jej na parę dni?

Pożyczyłabym. Umawiamy się, że wpadnie pod koniec tygodnia. Najlepiej w sobotę. Krótko, węzłowato, konkretnie. Tak teraz wyglądają nasze relacje. Żadnych żalów, złości, liwości, wypominania. Humor i tak mi się pogarsza.

Nie ma mowy o tym, żeby wrócić do rozmów o pogodzie. Pan Grzegorz sprawdza, choć już zupełnie niepotrzebnie, jeszcze jedną świetłówkę i ulatnia się dyskretnie, zostawiając mnie ponurą jak gradowa chmura. Tracę zapał do katalogowania. Zdecydowanie wolniej idzie mi okładanie książek. Zaczynają mnie drażnić snujący się między półkami interesanci.

Dzień pracy – jak każdy inny – ma jednak swój koniec, więc wreszcie mogę wyjść. I jak najszybciej do domu. Autobusu nie widać, a na przystanku więcej. Z podniesionym kołnierzem bezmyślnie wpatruję się w plakaty zapowiadające lato pełne imprez (*Koncert skrzypcowy Brunona Nielsena, Kisiel i Banda Wolanda, Strategiczna gra fantasy*), które przecież są nie dla mnie. Oprócz mnie na autobus czekają dwie młode dziewczyny, którym stanie na przystanku wcale się nie dłuży, bo mają akurat okazję, żeby omówić swoje – i nie tylko swoje – życie uczuciowe. Ta niższa wpatruje się w ekran komórki i odczytuje koleżance poranne wiadomości.

– Ja mu napisałam: „Twoje esemesy to jakaś masakra”, to on mi napisał: „Związek z tobą jest toksyczny”, to ja mu odpowiedziałam: „Masz schizę”. No, sama powiedz, co ja mam o tym myśleć?

– Ten związek jednak ma przyszłość – ocenia z powagą wyższa.

Przyjeżdża autobus. Wsiadamy.

Zastanawiam się, czy powinnam coś kupić po drodze, ale nie chce mi się zbaczać do sklepu i po wyjściu z autobusu idę prosto do domu.

Dopóki mieszkaliśmy razem, życie w naszym dwuipółpokojowym mieszkaniu wymagało wielu wzajemnych ustępstw. Regały po sufit wypełnione książkami nie stanowiły problemu, no, może tylko trudno je było odkurzać, lecz stopy papierów Adama – o, to już było gorsze. Nie pozwalał ich przekładać, o wyrzucaniu nie było mowy. A i tak ciągle coś mu ginęło. Apogium bałaganu osiągnęliśmy, kiedy kończył doktorat. W ogóle nie mogłam się przycisnąć do okna i nie miałam gdzie rozłożyć deski do prasowania. Wtedy po cichu marzyłam, żeby te wszystkie papierzyska trafił szlag. No i się spełniło! Papiery znikły wraz z Adamem, część książek też. Teraz mieszkanie zionie pustką. Za to mogę urządzać seanse prasowania i rozrzucać ubrania, gdzie popadnie.

No to rozrzucam zaraz przy wejściu i odbębniam cwieczorny rytuał. Kolacja, porcja wiadomości, a na deser serial. Mycie i w końcu codzienna dawka lektury. Wracam do zaczytanego egzemplarza *Anny Kareniny*. Tym razem masochistycznie skupiam się wyłącznie na wątku Dolly. Dobrej, naiwnej, a przecież mądrej Dolly, której mąż lubił młodszą kobietę. Czytam to chyba po to, żeby pogłębić swoją depresję. Po tym już tylko można iść spać. Wydaje mi się, że tak jest od zawsze.



Następny dzień należy do tych gorszych. Nie dosyć, że wiosna jakaś niemrawa i zupełnie bez słońca, to jeszcze to bezsensowne zaproszenie! Zapomniałam, a powinnam pamiętać, że zbliża się coroczne przyjęcie imieninowe u Wojtków. Lubię Wojtkę, lubię jego żonę Marzenę, zdarzało nam się razem spędzać wczasy, a nasze dzieci jeździły na te same kolonie. Od lat spotykamy się u nich w tym samym składzie – kilka par znajdujących się jak łyse konie. Zauważyłam, że przyjęcie od pewnego czasu stało się okazją do wspomnienia, jak fajnie bawiliśmy się pięć, dziesięć, piętnaście lat temu: „Pamiętacie, jak Darek z Marzenką tańczyli na stole?”, „A jak pierwszy raz piliśmy tequilę?”, „A jak przylecieli sąsiedzi z awanturą i potem bawili się z nami do rana?”. Bo ostatnio ani tańców na stole, ani zabaw do rana, chociaż tequila, owszem, lecz w dawkach raczej laboratoryjnych.

No więc zapomniałam o Wojtku. Psycholog powiedziałby, że wyparłam go ze świadomości, bo była to myśl niewygodna. Przypomina mi o nim Marzena, dzwoniąc w południe. Brzmi niepewnie. Słyszę wyraźnie, że czuje się w obowiązku mnie zaprosić i ma nadzieję, że odmówię. Co rzeczywiście robię. Natychmiast wymyślam jakieś obowiązkowe szkolenie poza miastem, rzecz mało prawdopodobną, ale Marzena z ulgą przyjmuje to za dobrą monetę.

Teraz może spokojnie zaprosić Adama z jego nową żoną. Która jest o nieco większą atrakcją towarzyską niż ja. Młoda, ładna, bystra. Za to z poczuciem humoru u niej nie najłepiej.

Tylko czy to ma znaczenie? Już widzę to prężenie się samców na jej widok. Przychodzi mi do głowy, że może jednak nie wszystkich w równym stopniu zachwyci jej obecność. Wśród gości będzie Krystyna, która pracuje z Adamem. Sylwia jeszcze niedawno była jej studentką, a Krystyna jest dosyć zasadnicza. Niestety, nie na tyle, żeby się nie pojawić na imieninach.

Problem załatwiam, ale nastroju sobie nie polepszam. Kolejny raz nie mam dyżuru razem z Ulą, która mnie rozumie, a że sama zawsze ma gorzej, więc na jej tle mogę nieco rozkwitnąć. Tym razem nic z tego. Rozklejam się. No tak, nic już mnie nie czeka. Tylko Uniwersytet Trzeciego Wieku i grupowe wędrowniki starszych pań z kijkami. Wykłady w stylu *Jak dbać o kręgosłup i układ pokarmowy* albo kursy szydełkowania i układania kwiatów.

Odręgowuję na Bogu ducha winnym panu Grzegorz, a w domu ostatecznie pogrążam się w swoim nieszczęściu. Po rzuceniu torby w kąć natychmiast się zabieram do wyszukania na półkach najbardziej dołującej książki. Szybko dochodzę do wniosku, że mojemu nastrojowi może sprostać jedynie mowa księdza Kamińskiego na pogrzebie pana Wołodyjowskiego. To przeraźliwe: „Larum grają! A ty się nie zrywasz? Na koń nie siadasz?” – zaraz sobie poczytam i będę długo ryczeć. Tylko gdzie ten Sienkiewicz? Jak na złość wpada mi w ręce wszystko to, o czym myślałam, że albo zniknęło razem z Adamem, albo komuś pożyczyłam. O, na przykład *Trzech panów w łódce*, których wsuwam z powro-

tem głęboko między inne książki, bo teraz zamierzam oddać się czarnej rozpacz, a nie umierać ze śmiechu.

Kiedy dzwoni telefon, postanawiam go nie odbierać. Nikt się nie nagrywa, a ja nie potrafię się uwolnić od myśli, że może to znowu Marzena, która mimo wszystko postanowiła mnie namówić na imieniny Wojtka. Na ponowny dzwonek reaguję ku swojemu zdziwieniu błyskawicznym skokiem do słuchawki. Jednak mojemu „halo” nadają nieprzyjazne brzmienie.

– Marta? Tu Bożena Żelisławska. To znaczy Grodecka.

Tego się nie spodziewałam. Wykrzykuję:

– Bożenka! Tyle lat!

– No, chyba z piętnaście. Co tam u ciebie? – I nie czekając na odpowiedź, kontynuuje: – Posłuchaj, z czym do ciebie dzwonię. Musimy się spotkać. Olimpia przyjechała!

Mój Boże, Olimpia! Zalewa mnie fala wspomnień. Rzeczywistość co prawda nie znika, lecz wyraźnie odsuwa się na drugi plan.

W liceum Olimpia była całkiem zwyczajna. Nie odznaczała się niczym szczególnym. Poza imieniem. Wśród Basiek, Grażyn czy banalnych Małgorzat jej imię brzmiało egzotycznie i bardzo niesocjalistycznie. Wyróżnianie się z tłumu nie leżało w charakterze Olimpii i dlatego usilnie prosiła, żeby nazywać ją Olą. I tu napotkała opór. Zgodnie doszliśmy do wniosku, że skoro trafiła nam się w klasie osoba naznaczona piętnem niezwykłości, nie ma powodu, żeby to ukrywać. I mimo powszechnego obyczaju zwracania się do siebie po

nazwisku („Kługe, masz matkę?”, „Kopsnij szluga, Michalski!”) Olimpia na zawsze pozostała Olimpią. Byliśmy głusi na jej protesty i w końcu musiała się z tym pogodzić.

Trwaliśmy w uporze tak konsekwentnie, że nawet nauczyciele, którzy przypominali sobie o istnieniu imion tylko w chwilach wyjątkowego rozczenia, zwracając się do niej, nagle zmieniali obyczaje („Przebieg funkcji przedstawi Olimpia”, „Olimpio, scharakteryzuj szkielet ptaka”).

W związku z tym nie pytam Bożeny: „O kim mówisz?” ani „Jaka Olimpia?”, bo Olimpia jest tylko jedna. Żądam za to konkretno:

– Gdzie i kiedy?

– W sobotę wieczorem u mnie – odpowiada krótko i treściwie. – Zawiadam, kogo możesz.

Upewniam się, że nie zmieniła adresu. Byłam kiedyś u niej, a i ona była u mnie. Jednak dawno temu, bo, jak pamiętam, nasi synowie bawili się wtedy małymi samochodzikami i strasznie hałasowali. Bożena wcześniej wyszła za mąż za kolegę ze studiów, nie tylko przystojnego, lecz także przedsiębiorczego. Zaczął bodajże od sprzedaży szklanek, a dorobił się hurtowni sprzętu oświetleniowego, w której oboje pracowali. Dziś Bożenka nie musi pracować, zajęła się prowadzeniem domu i zdaje się, że robi to wzorcowo.

A co do Olimpi, to jestem przekonana, że właśnie niecodzienne imię zdecydowało o jej losie. Wyróżniało ją do tego stopnia, że oczekiwaliśmy od niej niezwyklego życia. Nie po-

zostało jej nic innego, jak tym oczekiwaniom sprostać. I oto Olimpia tuż po maturze, w trudnych czasach ledwo zlikwidowanego stanu wojennego, kiedy przedmiotem pożądanego były wczasy w Bułgarii, jakimś cudem znalazła się w dalekiej Portugalii. Znalazła się i już tam została.

Minęły lata, wyjazd do Portugalii przestał być czymś nadzwyczajnym, a więzy łączące nawet najserdeczniejsze przyjaciółki znacznie się rozluźniły. O Olimpii wiedzieliśmy tylko, że nie zmieniła miejsca zamieszkania. Na początku nowego wieku podobno zaczęła bywać w Polsce, lecz nikt jej nigdy nie widział. I oto teraz jest i chce się spotkać!

Co za przypadek! Ominą mnie imieniny Wojciecha, za to w nagrodę zobaczę się ze swoją klasą. Przypomniały mi się śmieszne i straszne lata szkolne. Zadania z trygonometrii, strzelanie na przysposobieniu obronnym i pierwsze papierosy. Bożena, Anka, Michał, ta wściekła małpa od ruska. Cudowne...

[...]



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl

www.wnk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Creamy Hi Bulk 60 g/m² wol. 2,4.*

PaperlinX

Redaktor prowadzący *Joanna Wajs*
Opieka redakcyjna *Magdalena Korobkiewicz*
Redakcja *Iwona Krynicka*
Korekta *Zofia Kozik, Monika Hatucha, Malwina Łozińska*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Agnieszka Czubaszek*

ISBN 978-83-10-12541-5

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014 r.
Druk: EDICA Sp. z o.o., Poznań